Nr. 29. Kraków, Niedziela 15. Lipca 1900. Rok II.

Przesyłki pieniężne i reklamacye nieotrzymanych numerów wysyłać należy do:
Administracyi „Łączności“
Kraków, ul. św. Jana 28.
Zaś komunikaty, korespondencye i listy do:
Redakcyi „Łączności“
Kraków, ul. św. Jana Nr. 28.
Rękopisów Redakcya nie zwraca.
Ogłoszenia
przyjmuje się w Administracyi pisma po cenie 5 cnt. za wiersz petitowy.
Numer pojedyńczy kosztuje 7 cnt.

Z Bogiem i z Narodem!

ŁĄCZNOŚĆ

Organ Stronnictwa katolicko-narodowego oraz Związku krajowego katolicko-robotniczych stowarzyszeń.
Wychodzi co tydzień w Niedzielę.

Numera pojedyńcze nabywać można:
w Krakowie:
w redakcyi pisma od 11—12 rano i od 5—6 pop., z wyjątkiem niedziel i świąt, u wydawcy od 9—12 rano; w biurze dzienników Hopcasa i Salomonowej; w głównej trafice, w księgarniach Spółki wydawniczej i p. Miłkowskiego.
Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.
Biuro Redakcyi otwarte w dnie powszed od godz. 10—12 i od 5—7 popoł.

Prenumerata wynosi:
w Austryi z przesyłką: rocznie 2 złr. 50 cnt., półrocznie 1 złr. 25 cnt., kwartalnie 70 cnt.

Kierownik pisma z ramienia Komitetu Redakcyjnego
Włodzimirz Raszewski.

Prenumerata wynosi:
Za granicami Austro-Węgier: rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

Fundusz prasowy „Łączności“.

Naszą siłą — ofiara.

Po dokładnem rozejrzeniu się w organizacyi stronnictwa i pisma naszego, **ze zdumieniem** zauważyliśmy zupełny brak **publicznego** składkowania na **fundusz prasowy**, bez którego ani o należytym **rozwoju** sprawy naszej ani o **udoskonaleniu i rozszerzaniu** urzędowego organu stronnictwa, **marzyć nie można! Demokracya** każda, czy ona jest katolicką, liberalną czy socyalistyczną — przedewszystkiem **w publicznych składkach** na prasę swoją **objawia swą moc i żywotność. Tylko despotyzm arystokratyczny i despotyczna anarchia żyje tajnymi zasiłkami jednostek, demokracya, zwłaszcza jedynie prawdziwa, katolicka** stwierdza swą samowiedzę **jawnie**, powołując **wszystkich**, którzy walczą pod jej sztandarem do obsługi potężnej artyleryi myśli, t. j. **prasy.** A prasa demokratyczno-katolicka musi być niejako własnością **wszystkich** swoich zwolenników, bo **nam skandalem, plotką, senzacyą poczytności wywalczać nie wolno.** Wyuzdana prasa przeciwników naszych chwyta się wszelkich sposobów i sposobików, by połechtać próżność, dumę i zmysłowość ludzką, gra na strunach wszelakich namiętności, wyprawia łamane sztuki, byle zdobyć najszersze koło czytelników. Nam tego czynić **nie wolno,** bo musimy iść zawsze za głosem **sumienia** katolickiego.

To powinni uznać i zrozumieć nasi zwolennicy i hojnie zasilać nasz fundusz prasowy. «Hojnie» — to znaczy regularnie i często. Niechaj każdy z nas opodatkuje się według możności, i co miesiąc lub kwartał **uiszcza** pewną sumę na fundusz prasowy «Łączności». Kapłani i uświadomieni katolicy świeccy Wielkopolski **latami** składkowali i składkują na swą prasę katolicką, która **publiczne** składa pokwitowania. Czyńmy to samo, a i u nas poczucie katolickie zwycięży.

Na f. pr. «Ł.» złożyli: p. W. z Borzęcina 1 K., X. Ł. 2 K. Razem z poprzedniemi 53 K. 30 h. Niech żyją ofiarodawcy następni!!

Zwycięska pieśń...

(W rocznicę bitwy pod Grunwaldem 15-go lipca 1410—1900).

Zwycięska pieśń, to ogień dział,
To szablic szczęk, moździerzy strzał,
To jakby w turniach grom hen grzmiał,
To Wisły szum, Bałtyku ryk
I milionów serca krzyk:
Z niewoli i niedoli drwi
I kipi żarem polskiej krwi.

Lud w czarne dłonie porwał młot
I wali do ucisku wrot:
Białemu Orlu wolny lot!...
Swobody chce królewski ptak,
Niech krąży na zwycięstwa znak:
Uderzyć czas w tryumfu róg,
Zwycięża młodej Polski Bóg!

Pot krwawy piętno hańby zmył,
W poczuciu zolbrzymiałych sił
Lud pójdzie naprzód — będzie żył!
Służalstwa, nędzy srogi bicz
Na popiół stli miłości znicz:
I pryśnie fałsz mocarzy łask,
Bo nowych praw zajaśniał brzask!

Wre twardy bój o ziemski byt,
Lecz milknie ból i kajdan zgrzyt,
Bo ludzkość widzi Wiary świt!
Już w młodych rękach szczęścia klucz,
Więc duma lśni z wiarusów ócz;
Zwycięskich bije odgłos trąb
O szczyty gór i morza głąb!

Maryan Kwiryn.

Listy z ziem polskich.

Z Warszawy.

Dobry przykład ma siłę przyciągającą, jak o tem wymownie świadczą nasze kolonie letnie.

Piękna ta i tak wymownie humanitarna instytucya rozwija się u nas nader pomyślnie, wzbudzając zaufanie w szerokich kołach naszego społeczeństwa. Wprawdzie z bólem serca widzimy, iż z pomiędzy ogromnej liczby kandydatów świeżego powietrza i bladych buzi, spragnionych wiejskiej swobody i wiejskiego obfitego a zdrowego pożywienia — iż część jedna nie ma jeszcze zapewnionego pobytu na wsi, lecz z pewnością ofiarność nasza publiczna zaradzi złemu jeszcze w porę. Za przykładem Warszawy poszły i inne miasta i miasteczka — pomyślano wszędzie o zdrowiu tych biedactw z poddasz i suteren. Łódź wysłała na wieś znaczną partyę dzieci, Płock zapewnił im kąpiele solankowe w Ciechocinku, Radom krząta się około założenia u siebie tej pożytecznej a tak potrzebnej instytucyi i t. d. i t. d.

Prócz korzyści odniesionej na zdrowiu małych letników, mogą oni na wsi odnieść zawsze jakąś korzyść praktyczną, nauczyć się czegoś zastosowanego do ich wieku i pojęcia, np. starsi chłopcy znajdą sposobność nauczyć się koszykarstwa w świeżo założonej szkole, wykładającej kurs taki bardzo przystępnie, w Serwedzu nad Narwią w gub. warszawskiej. Naprzeciwko szkoły wydzierżawiono trzy morgi kępy porosłej wikliną, gdzie uczniowie pod okiem nauczyciela przygotowują grunt pod uprawę wierzby koszykarskiej, sadzą ją, a jednocześnie wycinają młode kępy i tuż na miejscu bielą. Nauka jest bezpłatną i trwa dziennie dziewięć godzin z przerwami —

Bitwa pod Grunwaldem.

Według powieści »Krzyżacy« H. Sienkiewicza.

Nastała cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu, między Niemcami a armią królewską, wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopi miejscowi, aby się patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po nim wiatr, a nad nim wznosiła się śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimowoli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury prześlaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumiał w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbił tumany kurzawy i poniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywuł, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się nakształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli odrazu wedle zwyczaju w skok. Konie, wyciągnąwszy szyję i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie; jeźdźcy, wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy niem. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu zamiast łez, skry. Ujrzawszy więc rozpędzoną ćmę litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził i rzekł:

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie-że wy w imię Boże!

I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.

— Gott mit uns! — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem. Lecz równie jak skała stoczona z góry, spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał i szły straszne, niepohamowane jako lawina, która musi zetrzeć i zgruchotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod niemi.

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń świętego Wojciecha. Sto tysięcy żelazem pokrytych głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

«Boga-Rodzica, Dziewica,
«Bogiem wsławiona Marya,
«U Twego Syna, Hospodyna,
«Matko zwolona, Matko jedyna
«Ziści nam — spust winom!...
«Kyrie Eleison!...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna, zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie.

Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakołebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębiach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i łęgom i całej ziemi, jak długa i szeroka:

«Ziści nam — spust winom!...
«Kyrie Eleison!...

A oni śpiewali dalej:

«Twego Syna Krzciciela, zbożny czas.
«Usłysz głos, napełnij myśli człowiecze;
«Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy:
«To dać raczy, jego prosimy:
«Daj na świecie zbożny pobyt,
«Po żywocie rajski przebyt,
«Kyrie Eleison!

Echo powtórzyło w odpowiedzi: «Kyrie Eleisooon!» — a tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zabrakło tchu i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

«Adamie, ty Boży kmieciu,
«Ty siedzisz u Boga w wiecu,
«Domieść nas, swe dzieci,
«Gdzie królują święci anieli!
«Tam radość,
«Tam miłość,

szkoda tylko, iż szkoła przyjmuje tylko samych chłopców. Koszykarstwo także, galanteryjne (bo szkoła przeważnie obznajamia z tym działem), byłoby także stosownem zajęciem dla kobiet — pocieszamy się myślą, że kiedyś, prócz chłopców i dziewczynki będą dopuszczone do tych praktycznych kursów.

Inicyatorowie projektu założenia w Warszawie kuchni ruchomych, nie zasypiają sprawy, przeciwnie, postępuje ona ciągle naprzód i w jesieni będzie już wprowadzoną w czyn. Zainteresowała ona szerokie sfery, robotnicy niecierpliwie oczekują tej inowacyi. Właściciele jednej z fabryk podmiejskich, chcąc zapewnić robotnikom gorącą strawę, zapowiedzieli, iż własnym kosztem sprawią dla nich naczynia i urządzą specyalny pokój, do spożycia wygodnie obiadu; przykład ten znajdzie zapewne naśladowców.

Pocieszającym bardzo objawem zainteresowania się ziemian sprawami publicznemi, jest projekt rzucony przez grono filantropów lubelskich, mający na celu założenia tamże kuchni ruchomej. Nie mamy jej jeszcze w Warszawie, a już Lublin na ten cel złożył kilka ofiar pieniężnych.

Poruszono też niedawno kwestyę pralni ludowych, tak poniekąd koniecznych dla zdrowia starszych i dzieci. Zakład taki byłby bardzo pożądany ze względu, iż mieszkańcy ciasnych i nizkich poddasz i suteren nie byliby, jak dotąd, zmuszeni oddychać niezdrowem powietrzem przesiąkniętem parą powstającą przy praniu i gotowaniu bielizny. Po prostu zabójczo działa na organizm ciężkie takie powietrze, a tyle niestety setek i tysięcy biedaków trują sobie płuca, oddychając niem z konieczności lato całe. Gryzący i ostry dym niszczy szczególniej wzrok, to też cierpienia oczne zdarzają się bardzo często w niższej sferze, mającej styczność z tym niemiłym gościem kuchennym. Tak samo i lud wiejski zapada często na oczy, a nie umiejąc sobie zdać sprawy z niebezpieczeństwa jakie mu grozi, zaniedbuje najczęściej swoje cierpienie, co pociąga za sobą fatalne nieraz skutki. Zresztą nie zawsze ma on możność zasięgnąć rady lekarza-specyalisty. Otóż kuratoryum Instytutu oftalmicznego imienia ks. Lubomirskiego, zorganizowało tymczasem trzy oddziały doraźnej pomocy okulistystycznej, mające na celu bezpłatne udzielanie porady cierpiącym na choroby oczne; nawet w razie potrzeby, specyalista kierujący oddziałem, dokonywa koniecznych operacyi. Przyklasnąć trzeba myśli tak pożytecznej i z pewnością mnóstwo osób korzystać z niej będzie. Oddziały okulistyczne rozpoczęły już swoją działalność od dnia 1 czerwca r. b. i na początek wyruszyły do Pułtuska (gub. warszawska), do Opatowa (gub. radomska) i do Krasnegostawu (gub. lubelska), gdzie po miesiącu, a w razie potrzeby i dłużej bawić będą.

A. K. Jastrzębiec.

Z Poznania.

(Dziatwa oszczędzająca).

Każdy przyzna, że chcąc członkom społeczeństwa przyswoić jakiekolwiek cnoty, najlepiej rozpocząć od najmłodszego pokolenia, mianowicie od dzieci. Wśród liczby cnót potrzebnych każdemu społeczeństwu, nie ostatnie miejsce zajmuje oszczędność. U nas w tym względzie dużo będzie trzeba jeszcze pracować, byśmy mogli innym narodom dorównać. W innych krajach od dawna istnieją kasy oszczędności dla dzieci, które wcale poważnemi mogą się wykazać rezultatami. We Francyi np. podczas ostatniej wielkiej powodzi same dzieci szkolne udzieliły ze swych oszczędności 10000 franków dla klęską nawiedzionych. W Niemczech znacznie większa część miast ma swe »Schulsparkassen«. Niektóre z tych kas osięgają wprost zadziwiające dla nas rezultaty. Tak np. kasa oszczędności dla dzieci w Rellinghausen, istniejąca dopiero od pół roku, posiada 4652 marek zaoszczędzonych wyłącznie przez dzieci szkolne.

W kasie oszczędności w Aplerbeck, istniejącej od 17 lat, złożyło w przeciągu ostatniego roku 3501 dzieci 43.021.68 marek.

Takie przykłady powinnyby każdego dobrze myślącego zachęcić do gorliwej pracy na tem polu, u nas niestety dotąd odłogiem leżącego.

Nie mam zamiaru rozwodzić się szeroko nad tem, jakie stąd korzyści wypływają dla społeczeństwa, jeśli dzieci za młodu nauczą się oszczędzać. Znane to od dawna rzeczy. Zbyteczną też rzeczą będzie dowodzić, że dzieci, które za młodu przyzwyczają się do oszczędności, nie pozbędą się tej cnoty, doszedłszy do lat dojrzałości. Wystarczy tu powołać się na wieloletnie doświadczenie kas oszczędności od dawna istniejących. Poleca się więc bardzo, aby i u nas kasy oszczędności dla dzieci zakładano.

Zachodzi pytanie, jaki system byłby najodpowiedniejszy.

W roku 1895 podczas kursu nauk praktyczno-socyalnych w Dortmundzie roztrząsano gruntownie sprawę kas oszczędności dla dzieci. Między innymi podał ktoś myśl, aby, trzymając się systemu znaczków oszczędności, zaprowadzić książeczki do wlepiania tychże znaczków w miejsce dotychczasowych kart pojedyńczych. Ks. Niesiołowski spróbował przed dziesięciu niespełna miesiącami założyć kasę oszczędności dla dzieci w Pleszewie (W. Ks. Pozn.), mieście liczącem około 6000 mieszkańców.

Książeczka służąca do wlepienia znaczków oszczędności zawiera 14 stron podzielonych każda na 24 pola. Wysokość książeczki wynosi 13 i pół cm., szerokość 11 cm. Pojedyńcze pola odpowiadające wielkości znaczków = 17×22 mm. Na każdej stronie znajduje się napis: Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. Książeczki zaopatrzone są w sztywną okładkę i posiadają prócz tego pochewkę ochronną z kartonu, którą w razie zniszczenia łatwo uzupełnić inną. W ten sposób książeczka nie niszczy się łatwo i nawet przy pilnem używaniu wystarczyć może na wiele lat. Dziecko, będąc zawsze w posiadaniu swej książeczki oszczędności, do tem gorliwszego bywa pobudzane oszczędzania. Przytem znaczki w kilku kolorach w dowolnym wlepiane porządku wcale ładnie się przedstawiają i w późniejszych jeszcze latach miłą stanowić będą pamiątkę.

Założenie i prowadzenie takiej kasy, której najlepiej dać nazwę »kasy drobnych oszczędności«, aby i starsi mogli z niej korzystać, nie przedstawia zbyt wiele trudności. Zająć się tem może osoba posiadająca zaufanie u dzieci, najlepiej ksiądz lub nauczyciel. Przed rozpoczęciem dzieła dobrze będzie urządzić jakąś agitacyę, zwłaszcza wśród rodziców. Na zebraniach bądź towarzystw świeckich, bądź też nawet bractw kościelnych — przypominam kółka różańcowe — należy wyłożyć gruntownie ich cel i całe urządzenie kasy drobnych oszczędności. Konieczną jest rzeczą zapewnić sobie pomoc kilku kupców, którzyby się podjęli pośrednictwa w sprzedaży znaczków oszczędności. Gdy tak grunt przygotowany, należy urządzić zebranie wszystkich dzieci i stosownego udzielić im objaśnienia i zachęty. Dobrze będzie już teraz pokazać im książeczki i znaczki oszczędności. Dopiero potem wyznaczyć czas i miejsce, gdzie będą wydawane książeczki oszczędności. — Jeżeli przygotowania jako tako zręcznie były prowadzone, za skutek pomyślny ręczyć można, zwłaszcza po miastach. (Dok. n.).

Ze świata kobiecego.

Co powiedzieliby ludzie? Pytanie to może zatruć i ukrócić życie.

Co powiedzieliby ludzie? pyta średniozamożna matka i zamiast wychowywać dzieci skromnie, przyzwyczajając je do potrzeb jaknajmniejszych, zarywa budżet

---

«Tam widzenie Twórca, anielskie, bez końca.
«Kyrie Eleison!...

I znów runęło echo po borze: «Kyrie Eleisooon!... Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni widzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulrych, który patrzał z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca «czelnego», w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zydram z Maszkowic i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że konie poprzysiadały w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

...Bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopij chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarczę, mąż zcierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł na kształt podciętych sosen rycerze. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jak to »nieużyty« i »natarczywy« jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimowoli konia, spoglądał przed się niepewniej i nim się namyślił, co czynić, ginął pod ciężarem polskiej prawicy...

Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, prawie ze wszystkich stron naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość...

Więc ciężki niepokój ogarnął teraz przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę, chmurę gradową...

Lecz wcześniej jeszcze przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkiem i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich władyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując jak błyskawica wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, pospierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię, i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął: Naprzód!

— Naprzód! ława! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! na psubraty! w nich!

Ruszyli. By zaś iść równym krokiem i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro-waś Ma-ry-ja, Łas-kiś peł-na, Pan z To-bą!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pacholkowie miejscy; kmiecie z Małopolski i Wielkopolski, i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury... Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom.

---

i pieści swe latorośle tak, jakby wspólny majątek należał do jednego dziecka a nie dzielił się na trzy i więcej części.

Co powiedzieliby ludzie? pyta dojrzała dziewica — gdybym nie wyszła zamąż? Pomyślą, że zostałam na koszu. Więc, coprędzej, nie poznawszy wcale życia, oddaje rękę i rzuca na pastwę serce mężczyźnie z zawiesistym wąsem, ładną pozycyą, dobrą »koligacyą«. Majątek, stosunki, gładka powierzchowność i tytuł naukowy — to przecież wystarczające podstawy »szczęścia« — cóż, kiedy złodziej, nieszczęście, występek i choroba tak łatwo w gruzy obracają wymarzoną szczęśliwość i w duszy pozostaje — pustka!

Co powiedzą ludzie? — pyta młoda aktorka, która wbrew woli rodziców uciekła do teatru. Chętnieby zawróciła z fałszywej drogi, ale — co powiedzieliby ludzie?!

Co powiedzieliby ludzie — pyta narzeczona, rada iść do ołtarza z człowiekiem jej godnym, kochającym ją samą i jej szczęście, a nie tylko własne; wie ona, że sobie i jemu złamie życie, cofając się dla względów rachuby ludzkiej; rzuciłaby chętnie w kąt wszelkie względy na stosunki, ale — co powiedzieliby ludzie?!

Ach, klątwą i zgubą stało się to pytanie dla wielu, którzy więcej oglądają się na sądy innych aniżeli na spokój swej duszy i sumienia. I czemże są ci »ludzie«, którzy dziś żyją a jutro gniją? Żaliż losy moje leżą w rękach tych, co są jako plewy i piasek lotny? Czyż ludzie, na których oglądamy się tak bardzo, dopomogą nam, gdy będziemy nieszczęśliwymi? Nasze nieszczęście tak samo im obojętne, jak nasze szczęście. Bawią się jednem i drugiem.

Siostry i towarzyszki miłe! Idźcie za głosem serca i rozumu i sumienia, nie pytajcie się ludzi. Pewien Misyonarz opowiadał raz o królewiczu, który po kilku latach niewoli, wypuszczony został na wolność pod warunkiem, że pozwoli przeprowadzić siebie w południe przez całe miasto.

O — zauważył młodzieniec — jakżeż patrzyliby na mnie ludzie?

Nie wiesz jeszcze, odparł król, — jak cię poprowadzą. Gdy nadeszła godzina wręczył mu czarę kryształową wypełnioną mlekiem po brzegi: »Skoro kroplę upuścisz, zginiesz«! I za królewiczem stanął kat królewski z dobytym mieczem, którym ugodzić miał w ofiarę, skoroby upadła kropla na ziemię.

Zbiegły się rzesze niezliczone na straszne widowisko. Tłum zalegał ulice, obsadził okna i dachy nawet. Gdy królewicz ukończył niebezpieczny swój pochód szczęśliwie, przystąpił do niego król i pytał: no, jakżeż spoglądali na ciebie ludzie? — O królu, odparł młodzian, nic nie widziałem, — czułem tylko życie moje w ręku własnem i miecz nad głową.

Idźmyż śladami tego królewicza, nie oglądajmy się na nikogo, baczmy tylko na nas i tych, którzy są w nas duszą swą i sercem, bo nie w ludziach, lecz w nas samych jest szczęście.

Ufność ufnością, wiarę wiarą, miłość miłością, szczęście tylko szczęściem wzbudzić można! *Marya Strzemkowicka.*

ŁUNA POŻARU.

Od wschodu bije łuna pożaru. Wypadki w Chinach idą w szalonem tempie. Ledwo nadeszła wiadomość o uratowaniu nieszczęśliwej wyprawy admirała Seymour'a na Pekin, a już nadchodzą wiadomości o strasznych wypadkach w stolicy niebieskiego państwa. Rząd w rozsypce, rewolucya pałacowa dokonana, książe Tuan na czele wojsk regularnych cesarzem ogłoszony, anarchia w państwie, lud wzburzony i sfanatyzowany, morduje cudzoziemców i osady ich puszcza z dymem.

Jeszcze nie ochłonęła Europa z pod wrażenia tych krzyżujących się i niestwierdzonych wiadomości, a w tem nadchodzi depesza urzędowa, że ambasador niemiecki w Pekinie, baron Ketteler, bratanie wielkiego biskupa, zamordowany został przez wojska cesarskie dnia 18 czerwca. Ciało zamordowanego rzucono na ulicę, stąd je wydobyła rozpasana tłuszcza i w sposób zwierzęcy znieważyła, poczem pałaszami na drobne kawałki posiekła. To był tylko początek.

Od dalszych wieści krew się ścina w słuchaczu. W Pekinie wymordowano wszystkich Europejczyków, którzy w liczbie około 1000 zebrali się w poselstwie angielskiem wraz z dziećmi i żonami. W ostatnich dniach wytrzymali kilka ataków hord sekciarzy i wojsk chińskich, gdy jednak wyczerpała się amunicya i żywność, poselstwo zostało wzięte szturmem, zrównane z ziemią, a cudzoziemcy wymordowani. Głowy pomordowanych wywieszono na murach dzielnicy tatarskiej.

Wiadomości te w jednej chwili zmieniają położenie rzeczy na wschodzie. Krew pomordowanych będzie srogo przez Europę zemszczona. Cesarz Wilhelm zarządził mobilizacyę I dywizyi (20.000 chłopa), która bezzwłocznie ruszyła na wody chińskie. Nie ulega już wątpliwości, że za przykładem Niemiec pójdą mocarstwa inne. Japonia ma przybyć z posiłkiem 20.000 wojsk regularnych, Rosya, Francya, Anglia, Austrya i Włochy wysyłają znaczniejsze oddziały wojsk do Chin.

Chiny, olbrzymie niezmierne i niepoliczone państwo wschodu, były oddawna siedliskiem rewolucyi i niepokoju. Miały Chiny swoją wielką rewolucyę już przed 2100 laty, kiedy państwo feudalne złożone z całej setki księstw i państewek rozbiło w puch i na to miejsce utworzono jedno wielkie cesarstwo.

Nikt nie wie, jaki pożar powstanie z tej łuny, co się zapaliła na wschodnim nieboskłonie. Nikt nie może przewidzieć, jakich zawikłań, jakich zmian i jakich przewrotów może być zapowiedzią. To jedno pewne, że wobec tych wielkich spraw na wschodzie, maleją drobne sprawy i poswarki w Europie do bardzo nieznacznych rozmiarów.

Żałoby żydowskie.

Dochodzi nas pismo poniższe:

Jasne Pan Redaktuor!

Jaké tuo interes pisać zawsze przeciéwko Żydom, a nie pisać nigdy o krzéwdach Żydów? Tuo lepsze interes pisać zawsze przeciéwko każdej krzéwdzie: tuo będzie łączność między całym narodem w Galicyi, czy żydowskim, czy nie żydowskim, ale krzewdzonym!

Jasne Pan Redaktuor pewno ruozumie ten interes, ale nie umie zacząć. To nic nie szkodzi; mogę zacząć i pokazać ten interes, a Jasne Pan potem poradzi sobie sam. Tylko puoczątek trudne!

Teraz wielgą krzewdę ma bardzo porządny Żyd, pan Icek, ten, co to wziął przedsiębiorstwo bardzo humanitarne, aby pobudować kuolej drugorzędną z Krakowa do... z odnogą do klasztoru.

Kto ma taki humanitarny interes na głowie, ten nie ma czasu myśleć o drobiazgach i formalnościach, tylko ruobi wszystko szlachetnie. Tak zawsze mówią ludzie dobrze wychowani i tak mnie uczyła moja matka, baronówna z domu, która bywała blisko domów największych. Więc pan Icek nie miał pamięci do tego, co wywodzili przed nim mnisi z klasztoru, kiedy od nich chciał kupić pole pod tor kolejowy. Przecie pan Icek był bardzo grzeczny i osobiście gadał z przełożonym konwentu w . . . . . i zapamiętał sobie, na jaką cenę ci Mnisi przystają, tylko to zapomniał, co sobie Mnisi zastrzegli przy sprzedaży, bo narzekali, że kolej odetnie ich majątek od drogi do klasztoru, że przy uprawie, przy dozorze nad robotą i przy zwózce z pola wypadnie tracić czas na objażdżkę dokoła i na kilometry liczyć nałożoną drogę. Gdyby ci średniowieczni Mnisi rozumieli humanitarny interes, to nie zaprzątaliby sobie i drugim głowy takiemi formalnościami, jak przepisy gospodarskie, że właściciel potrzebuje dojazdu do swojego pola, więc nie żądaliby od pana Icka, żeby im pobudował mostki do przejazdu przez tor, za-

---

H. STRAŻYŃSKA.

SIEROCE SWATY.

(Ciąg dalszy).

Zasnął wreszcie, lecz i teraz nie dawała mu spokoju. Śniło mu się, że goni śliczną dziewczynę gdzieś daleko, daleko, lecz jej pochwycić nie może... co się do niej zbliży, to mu się wyśliznie, aż wreszcie znikła bez śladu. Obudził się zmęczony, jak gdyby długiem gonieniem zdyszany.

— Tfu do kata — splunął — opętała mnie czy co!...

Sen złowróżbny miał się wkrótce spełnić. Grzegorz po kilku dniach stracił głowę dla zalotnej dziewczyny. Wpatrywał się w nią, jak w cudowny obrazek, dla niej wygrywał na skrzypkach i wyśpiewywał; pomagał jej w robocie, znosił wstążki i korale i nikogo prócz niej nie widział. Zapomniał nietylko o swoich planach cywilizowania ludzi w Rokiszanach, o Pietrku i jego matce, ale i o całym świecie! Chodził koło swej roboty jak pijany lub we śnie, bo już po za Paraską nic go więcej nie interesowało.

— Widzicie mądralę — mówili sobie parobcy — ani jego granie, ani czytanie na książce nie ustrzegło go od tej wietrznicy, która go tak samo wydrwi, jak i każdego z nas!

— Nie baj, nie! — odrzekł któryś — on się odrwić nie da, a dziewczyna teraz zapłaci czepcem za swoje baraszkowanie... szkoda go przecież dla niej!

— Jak raz zostanie babą, to się ustatkuje — usprawiedliwiał któryś płochą dziewczynę — a zresztą może ona jemu i z serca rada, bo to przecie walny chłop.

O ile z początku parobcy niechętni byli Grzegorzowi z powodu fałszywego wyobrażenia o jego mądrości, o tyle teraz jego nieszczęście ich wzruszało i radziby byli, by się wszystko skończyło pomyślnie dla Grzegorza.

Bóg jednak sam wie, czego mu życzyć mieli! Nikt też nie wiedział, co naprawdę dziewczyna myśli. Paraska śmiała się do niego, jak i do innych, podarki chętnie brała od Grzegorza, ale jego zalecanki obojętnie przyjmowała, jako należny sobie hołd. Głośno mówiła, iż jej nie pilno do czepca, iż chce jeszcze swobody użyć, a więc nie chce serca w niewolę oddawać.

Zośka patrząc na to wszystko, posmutniała jeszcze więcej, ale że zwykle była spokojna i małomówna, nikt też jej smutku nie zauważył. Gromiła też nieraz Paraskę, iż sobie tylko żarty stroi z chłopców, a przepowiadając, że ta płochość nie wyjdzie jej na dobre... Paraska na to śmiała się jak zwykle, powtarzając: — Dobrze mi tak i wesoło, na co miałabym sobie brać biedę, męża na kark! dość na to będzie czasu!

Wreszcie i Grzegorzowi dziwnie się wydało jej postępowanie. Posmutniał parobczak... z wesołego i uprzejmego stał się ponury i opryskliwy, a wtedy i do Paraski się nie odzywał, chcąc o niej zapomnieć. Ale dziewczyna, jakby w obawie, by jej się parobczak nie wymknął, starała się go przeciągnąć napowrót... rozweselić... a wtedy stawała się tak zalotną, że chłopiec zupełnie głowę tracił.

Za dużo mu już było tego zwodzenia i niepewności.

— Słuchaj Parasko — rzekł wreszcie pewnego dnia — tak dłużej być nie może... opanowałaś mnie i oplątałaś całkiem, to musisz być moją... jutro poślę swatów do chałupy, a jak mi metrykę przyślą, damy na zapowiedzi i w trzecią niedzielę ślub!

— A mnie co potem! — zawołała przestraszona Paraska.

— A cóż to! dokądże mnie myślisz tak wodzić?! — krzyknął Grzegorz i oczy mu się zaiskrzyły — ciągłaś mnie, żeby szczerzyłaś, patrzyłaś temi uroczliwemi oczami, toś i urzekła, a teraz chciałabyś jak psa od kiełbasy odpędzić! Nic z tego nie będzie! Albo musisz być moją, albo niczyją! Śmierć każdemu, co się do ciebie zbliży, albo i tobie, jak będziesz do innych zęby szczyrzyć! Pilnuj się, byś nie narobiła nieszczęścia!

Paraska teraz strasznie się wylękła... widziała, że z Grzegorzem niema żartów... może się uda choć odwlec to małżeństwo... myślała.

— Wy tu obcy — bąknęła — wywieziecie mnie... matka nie da.

(Ciąg dalszy nastąpi).

opatrywał drogę barjerami i po wszystkie czasy pamiętał o ciężarze, że ma utrzymywać w porządku bariery i mostki. Wszak każdy człowiek postępowy musi powiedzieć, że taki humanitarny przedsiębiorca, jak pan Icek, zupełnie honorowo przystał na cenę pola, a nie miał interesu myślećj o niedorzecznych formalnościach, ale ciemne i zacofane głowy jeszcze zważają na jakieś średniowiecznie prawa własności zakonnej i szukają zaczepki, aby tylko skrzewdzić porządnego żyda.

Więc honorowy pan Icek humanitarnie złożył w c. k. Ekspozyturze prokuratorji skarbu cenę samego pola, na którą Mnisi przystali, a nie myślał ich odszkodowaćj za to, iż im utrudnił i zdefigurował gospodarstwo, bo przecież żaden trzeźwy obywatel kraju rolniczego nie potrzebuje zwracać uwagi na formalności czy przepisy albo względy gospodarskie. Ufny tedy w swoją sprawę słuszną, pan Icek wybudował kolej, która odcięła Mnichów od ich majątku.

Jeżeli to Mnichom trochę nie przypadło do smaku, to powinni byli ten majątek sprzedać jakiemuś obywatelowi po drugiej strony toru: tedy nie byłoby pole odcięte od właściciela. Ale średniowieczni mnisi nic nie rozumieją, tylko narobili hałasu, że pan Icek naruszył ich prawo własności (do jakichś pól, nadanych im jakiemiś dyplomami jakichś królów Leszków i Bolesławów, a potwierdzonych im przez późniejsze rządy). I do tego stopnia średniowieczni Mnisi taktu i honoru nie mają, że wytoczyli panu Ickowi proces o naruszenie ich prawa własności. Jakimś niefortunnym przypadkiem, pewno przez pomyłkę, Mnisi wygrali proces i pan Icek usłyszał wyrok, mocą którego musi oddać Mnichom ich pole w stanie pierwotnym!

Co to jest? Czy to nie jest krzywda? Jakże pan Icek zrobi swój interes?

A przy tym dużym interesie jest jeszcze mały interes.

Temu lat 40 albo 50 senat wolnego miasta Krakowa kazał właścicielom pól pozasadzać drzewa po obu stronach drogi. Jak inni właściciele, tak i mnisi, pozasadzali szczepy i myśleli, że coś mądrego zrobili, iż ozdabiają gościniec, a nie myśleli, że to głupi interes, bo przecie szlak pola, poobcienianego drzewami, mniej plonu zaczął rodzić, niż pole w słońcu. Potem Wydział krajowy wziął sobie do serca interes, żeby strzydz drzewa przy gościńcu: Mnisi pozwolili Wydziałowi obcinać gałęzie z drzew, przez nich sadzonych na ich polu i stąd brać także dochód. Za tę przysługę mają teraz zapłatę: Wydział krajowy zajął sobie ich drzewa i pozwolił panu Ickowi je pościnać, bo to był dobry interes dla pana Icka, a nad ozdobą gościńców nie potrzebuje nikt sobie suszyć mózgownicy.

I kiedy pan Icek ma Mnichom oddać pole w pierwotnym stanie, czy ma z ogrodów botanicznych posprowadzać drzewa, aby wszystko oddaćj w tym stanie, w jakim zastał?

Bezstronna obrona wszystkich pokrzewdzonych wymaga, aby Jasne Pan Redaktuor przedstawił, jaka krzewda spotkała zasłużonego i humanitarnego pana Icka. Kiedy wszystkie ludzie będą czytaćj, że Jasne Pan Redaktour honorowo broni każdego obywatela, tedy wszystkie ludzie będą wierzyć w każde słowo, z którem wystąpi „Łączność“; wszystkie Żydy będą wierzyć tak, jak w słowo rabina. A to dobre interes.

Kiedy Jasne Pan Redaktuor sobie życzy, to będę dalej pisał do takiego pisma, co broni każdego przed krzewdą.

Oczekuję odpowiedzi, co odpowie Jasne Pan Redaktuor, i zostaję gotów do usługi honorowej bez żadnego interesu

właściciel dóbr realnych
Arnold Goldesel
urodzony z baronówny Taube.

Od Redakcyi: P. Goldesla czyli, na polskie przetłomaczywszy, Złotoosła prosimy o częstsze donieśenia o krzywdach, dziejących się w Galilei narodowi izraelskiemu. Będąc „Łącznością“, chcielibyśmy połączyć wszystkich obywateli mojżeszowego wyznania wspólnem oburzeniem i skłonić ich do porzucenia tak paskudnego kraju, jak nasza Galilea. Na wojnie robi mądry żyd świetny interes, więc czasby był, żeby wszyscy galicyjscy żydzi pomyśleli o przeniesieniu się gdzieś w okolice Transwaalu lub Chin!

Ruch społeczny.

Stowarzyszenie polityczne katolicko-narodowe w Krakowie odbyło we czwartek 12 lipca b. r. w domu robotniczym doroczne walne zgromadzenie.

W zagajającej przemowie wskazywał prezes p. **Stróżyński** na rezultaty pracy stowarzyszenia krakowskiego: ono to pobudziło Tarnowian i Lwowian do założenia podobnych stowarzyszeń, — ono to na zgromadzeniach wielkich domagało się ustawodawczego uregulowania spoczynku niedzielnego, — urządziło większe zgromadzenie w sprawie organizacyi katolickiej 21 sierpnia r. z. a inne 29 września w ratuszu, na którem mimo udziału socyalistów, robotnicy bili brawo naszym mowcom, wreszcie zgromadzenie w hotelu Kleina pchnęło także naprzód naszą sprawę — stowarzyszenie wysełało delegatów na wiec dziennikarzy słowiańskich w Krakowie, na jubileusz «Gwiazdy» w Przemyślu, do Wiednia w celu potitykowania posłom z Koła polskiego, którzy niepodpisali interpelacyi w sprawie Hilsnera, — do Tarnowa na wiec, na którym ukonstytuowało się stowarzyszenie tamtejsze, wreszcie do Lwowa w sprawie statutu miejskiego; w ostatniej tej sprawie urządzono 26 marca w Domu robotniczym zgromadzenie i śmiało stwierdzić można, iż jedynie dzięki ruchliwej agitacyi stowarzyszenia, przyznano rękodzielnikom kilka mandatów do Rady miejskiej. W końcu swoich wyczerpujących wywodów przypominał mowca, że Stowarzyszenie dawało bodźca do urządzania pogadanek w różnych naszych Towarzystwach, — karcił ostro lekkomyślne traktowanie obowiązków przez niektórych członków (oklaski), wreszcie zachęcał w dobitnych słowach do szukania porozumienia z włościanami, do oparcia dalszej agitacyi o lud wiejski (Grzmiące brawa).

Następnie odczytano sprawozdanie kasowe, z którego wynika, że w ciągu ubiegłego roku obrachunkowego wynosił dochód 502.80 koron, rozchód zaś 532.86 koron, drobny niedobór zostanie wkrótce pokryty ze składek członków.

Na wniosek p. **Szufy** udzielono zarządowi pokwitowanie i podziękowano przez powstanie z miejsc tym członkom zarządu, którzy wytrwali do ostatniej chwili.

Następnie zachęcał p. **Ligęza** w gorących słowach do wyboru dzielnego wydziału, poczem dokonano wyboru. Do Wydziału Stowarzyszenia powołani zostali pp.: X. prałat **Bukowski**, prof. Dr. **Wicherkiewicz**, mecenas **Br. Olearski**, radca **Redyk**, prezes Koła mieszczańskiego, **Kossobucki**, wreszcie **Kramarczyk, Szufa, Stróżyński, Wójcik**, jako przedstawiciele rękodzielników, odnośnie robotników i włościan — **Młodzianowski**, na zastępców zaś pp.; X. **Rottermund**, Józef **Ligęza, Morawiec** i **Zydroń**, a do komisyi kontrolującej X. kan. **Łabaj**, prof. **Krotowski**, pp. **Pruszyński, Makowiecki** i **Gołąb**.

Przy wnioskach zabierali głos pp. **Kramarczyk** (prosząc duchowieństwo o żywy udział w pracach stowarzyszenia), XX. kan. **Łabaj** i **Masny** (odpowiadając w imieniu księży świeckich), **Gołąb** (wyrażając uznanie duchowieństwu za poświęcanie się sprawom rzemieślniczo-robotniczym i wnosząc aby Wydział wydał odezwę do cechów, co uchwalono), **Pruszyński** (wyrażał oburzenie na bezczynność posłów krakowskich i unikanie z ich strony wszelkiego zetknięcia się z wyborcami, radził żywiej zająć się wyborami i wniósł o wyrażenie czci i uznania dla pracujących w naszych szeregach kapłanów — stało się zadość), **Ligęza** (wnosząc, żeby Wydział ogłaszał często informacye o swoich czynnościach w »Łączności« — uchwalono), **Langer** (domagając się sprężystszej agitacyi. rozdziału pracy między setników i dziesiętników, zajęcia się piekącą sprawą podrożenia węgla i zawezwania posłów do sprawozdań), **Kossobucki** (o stanowisku mieszczaństwa).

W myśl wniosków pp. Pruszyńskiego i Langera oraz poprawki p. radcy Redyka, uchwaliło zgromadzenie następującą rezolucyę:

»Obywatele zorganizowani w krakowskiem stowarzyszeniu katolicko-narodowem wzywają posłów do Rady państwa i na Sejm krajowy, ażeby zdali sprawę z czynności poselskich i domagają się, żeby podjęli piekącą sprawę drożyzny węgla«.

Po dwugodzinnych obradach zamknął p. prezes zgromadzenie, dziękując zebranym za przybycie i zachęcając do dalszej pracy i wytrwania.

Przy stole dziennikarskim reprezentowane były redakcye »Czasu«, »Głosu Narodu« i »Łączności«.

W pięknem tem zgromadzeniu wzięli udział przedstawiciele wszystkich warstw i stanów miejskich i wiejskich.

Wybory uzupełniające posłów na Sejm odbędą się 4 września b. r. z kuryi gmin wiejskich pow. skałackiego i żydaczowskiego oraz z miast *Brzeżany*-Złoczów, *Gorlice*-Jasło, *Bochnia*-Wadowice, *Sanok*-Krosno, *Podgórze*-Wieliczka. Miejsca wyborów głównych podkreślamy.

Z TYGODNIA.

W „inspektora policyi“ zabawił się Srul Sonnenschein i w towarzystwie czterech drabów napadł na pewną włościankę w szynku Mojżesza Eizena przy ulicy św. Józefa na Kazimierzu. Kobiecinę poturbowano w nieludzki sposób, zabrano jej chustkę i kilka koron. Gwałcicieli zabrała prawdziwa policya. Takie napady w norach żydowskich nie są nowością, czasby był zatem, żeby ludność katolicka poczęła unikać szynków i handlów żydowskich.

Pomieszkania stróżów polecił magistrat zbadać w ciągu 30 dni Drowi Buszkowi w asystencyi komisarzy obwodowych.

Żydki! nie tędy droga na Kazimierz! — wołał pewien urzędnik policyi na »demonstrujących« w dniu 1 maja lapserdaków socyalistycznych, co tak rozjuszyło »towarzysza« mojżeszowego wyznania, imci Heckera, redaktora »Naprzodu«, że obsypał urzędnika najplugawszemi obelgami. Koszerny redaktor »Naprzodu« dostał za to miesiąc kary.

Czarno-żółte barwy wywiesili na plakatach swoich socyaliści, byle zwabić znienawidzonych »wyzyskiwaczy« na swój »festyn ludowy«. Uświęcone afisze czerwone ustąpiły miejsce zielonym, a gdy zabawę odłożono, ukazały się kartki czarno-żółte. Nic dziwnego, że socyaliści puszczają się na takie szwindle, boć u nich rej wodzą krzywonosi geszefciarze! Ostrzegamy tedy przyzwoitych ludzi przed »festynem ludowym« w parku krakowskim, bo na »wstępne« poczęstują rozhukani »towarzysze« — kułakiem.

Hakatyzm pruski zakrada się na dobre do Galicyi. Zeszłego roku Prusacy zakazali zjazdu lekarzy polskich w Poznaniu, a teraz austryacka władza wojskowa zakazała lekarzom wojskowym brać udział w tegorocznym zjeździe naszych lekarzy w Krakowie. Wszakżeż my dostawiamy rekruta i płacimy chętnie podatki na wojsko — więc wara od wyjątkowości, wara od traktowania nas jako mniej wartościowej narodowości!

Rozbójnictwo szerzy się w zastraszający sposób na przedmieściach Krakowa. Świeżo w Prądniku Czerwonym napadnięto D-wą Zakrzewską z Krakowa, a ze Zwierzyńca nadchodzą wieści, od których włosy na głowie powstają. Rozpiszemy się wkrótce o tem obszerniej!

Na polską szkołę ludową w Morawskiej-Ostrawie złożyli na ręce p. Dr. Rostworowskiego p. M. z Wilna 13. 26 K., razem z poprzedniemi koron 45, 26.

Krakowska szkoła sztuk pięknych została zamieniona na akademią.

O wylewach rzek nadeszły zastraszające wieści z N. Sącza, Halicza, Stryja, Borysława i t. d. Tysiące ludzi bez dachu, drogi i mosty pozrywane!

☞ W nowy kwartał i w nowe półrocze wstąpiliśmy z dniem **I lipca**. Niechże Czytelnicy i Zwolennicy nasi raczą o tem **pamiętać** i nadsyłać **przedpłatę, nie czekając aż znowu prześlemy osobne rachunki**. Po co wzbogacać pocztę austryacką?! Kto nadeśle **2.50** koron, ma «Łączność» zapłaconą do Nowego Roku, kto złoży **1.40** kor. — do 1 października.

Administracya «Łączności»
Kraków, ulica św. Jana l. 28.

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny: Józef Ligęza. — Wydawca: Antoni Stróżyński.